

Mój wołyński dzień

Przyszedłem na świat w zacisznym, białym domku w Łucku, jako pierwsze i jedyne dziecko.

Z późniejszych opowiadań dowiedziałem się, że rodzice długo oczekiwali na potomstwo. Lekarz w Łucku o nazwisku - Biłobran, zalecił nawet leczenie uzdrowiskowe. Rodzice posłuchali go i zaczęli wyjeżdżać do miejscowości leczniczych, w tym często do Żegiestowa.

Zabiegi te niewątpliwie dały rezultat, bo oto pewnego pięknego poranka czerwcowego 1934 roku, przyszło na świat dziecko, długo oczekiwane przez rodziców i sprawiło szczególną radość Ojcu - bo był to syn.

Ochrzczono go w Katedrze łuckiej imieniem Zenon, gdyż takie imię przypisane było następnemu dniu po dacie jego urodzenia. Natomiast drugie imię otrzymał po Ojcu – Leopold.

Dziecko zmieniło gruntownie tryb życia w domu przy ulicy Ogrodowej 6.

Oprócz Mamy - nauczycielki, która i tak już od dłuższego czasu nie pracowała, zjawiała się w domu opiekunka do dziecka, nazywana wtedy - nianią.

Zapamiętałem ją jako dziewczynę o długich, czarnych warkoczach (kosach), w wieku chyba 18 – 20 lat, na którą wołałem: „Nadia”.

Jak się później dowiedziałem, nazywała się Nadzieja Szepel. Mieszkała z rodzicami o imionach Sozont i Glikieria we wsi Stawki, gmina Poddębce, gdzie aktualnie Ojciec – geometra – wykonywał pomiary. Na jego prośbę, chętnie zgodziła się zamieszkać w mieście, aby pomagać w opiece nad nowonarodzonym...



Fot. 1 .
W ogrodzie, w towarzystwie Mamy i Nadi,
która zawzięcie ceruje...

Pod opieką Rodziców, odbywałem spacerunki po ulicach Łucka, odkrywając coraz to nowe miejsca.

Już z okien domu i z ogrodu wzrok mój padał na bliższe, i dalsze okolice tej części Łucka, zwanej Wólką.

Oto naroże mojego domku, a w oddali widać dom sąsiada Władysława Przystasia

I tak, wśród czerwcowych kwiatów, kochających rodziców, i pracowitej niani, rośnie dziecko, nabierając sił do zmierzenia się z niełatwym życiem.



Fot. 2 .



Fot. 3 .

A to widok z mojego ogrodu, na kamienicę Grzegorza Podolskiego po przeciwnej stronie ulicy Ogrodowej.



Fot. 4.

Patrząc w przeciwną stronę, widziałem gmach Macierzy Szkolnej, a na prawo drzewa Cmentarza Katolickiego, i część ulicy Gimnazjalnej.

Na dole zamrożone rozlewiska rzeki Sapałajówki i chłopcy ślizgający się na łyżwach.

Później w towarzystwie Mamy albo Taty, zacząłem wychodzić na ulice Łucka. Pierwsza, najbliższa trasa, to spacer do Parku Miejskiego, położonego po drugiej stronie ulicy Szopena.



Fot. 5.

Były tam ławeczki, ścieżki no i piaskownice, w których bawiłem się całymi godzinami, podczas gdy Mama siedząc na ławeczce, rozmawiała ze swymi przyjaciółkami.

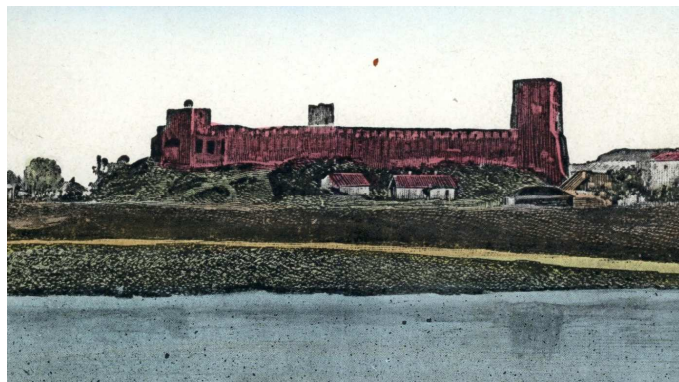
W tle widać domki Kolonii Urzędniczej, a na prawo gmach Urzędu Ziemskiego, w którym pracował mój Ojciec Leopold.

Gdy nieco dorosłem, wyprawy poza dom rodzinny stały się dłuższe i poważniejsze. Jeżeli była odpowiednia pogoda, to znaczy dość ciepło, cała rodzina udawała się nad Styr, w rejon przystani wioślarskiej. Zaopatrzywszy się w koszyki z jedzeniem i odpowiednie stroje, wyruszyliśmy piechotą w stronę Styru. Było to chyba gdzieś w okolicach Zamku, gdyż szliśmy z ulicy Ogrodowej, przez ulicę Matejki, przecinając Aleje Chrobrego dalej po Szkolnej i na skróty ścieżką wśród rozlewisk, łąk i bagien. Stale towarzyszył nam widok potężnych wież i murów Zamku, który od dzieciństwa tak mi wrósł w pamięć, że nigdy nie pytałem Ojca ... co to jest?

Historię Zamku Lubarta poznałem o wiele później.

Fot. 6.
Zamek Lubarta od strony łąk

Droga dostępna była tylko podczas suchego lata. Przez pewien czas ścieżka prowadziła wśród trzciny i szuwarów, o wiele wyższych ode mnie. Co za frajda dla chłopaka - prawie jak w jakiejś puszczy. Potem podejście pod wał i ... nagle - rozbłyśka spokojna, zielono-niebieska tafla wody.



To rzeka STYR.

Tata wybrał dogodny brzeg rzeki, wymościł go połamanymi łodygami tataraku, grubymi - jak ręka dziecka. Rozniósł się aromatyczny zapach tataraku, który pamiętam do dziś. Mama w tym czasie rozłożyła opodal koc i otworzyła koszyk z wiktuałami, aby rodzina posiliła się po dość długim spacerze. Po odpoczynku ruszyliśmy do wody. Najpierw po kostki, później do pasa i ... dalej dziecku nie wolno. Tata bierze mnie na ramiona i trzymając mocno, wśród śmiechów i ochlapywania się czystą jak łza wodą, oddala się od brzegu. Mama woła przerażona - Tusi - wracaj, tam za głęboko !!! Tata zawraca do brzegu; usadowił mnie na wymoszczonej liśćmi tataraku jak by ławeczce, na której grzecznie siedziałem, prawie do pasa zanurzony i machałem rozkosznie nogami w wodzie. W tym czasie Mama z Tatą pływali sobie nie za daleko, żeby mieć dziecko na oku. Ojciec - urodzony w pobliskim Czeknie, całe dzieciństwo spędził nad Styrem, pływał więc doskonale.

Oprócz wypadów na "dzikie kąpielisko" czasami rodzice zabierali mnie do nowobudowanego obok nad brzegiem, drewnianego pawilonu.

Pamiętam, że za pewną opłatą Tata dostawał klucz, z którym wchodziliśmy do długiego, wąskiego korytarza. Ściany łącznie z podłogą wyłożone były sosnowymi deskami, pachnącymi żywicą. Pytałem Ojca - dokąd my idziemy - przecież mieliśmy się kąpać ? Ojciec nic nie odpowiedział, tylko rzeczonym kluczem otworzył jedne z ponumerowanych drzwi, weszliśmy do środka i oczom moim ukazała się rzeka w całej rozciągłości, a do wody prowadziły wygodne, drewniane schody. Drzwi prowadziły do kabiny osłoniętej z trzech stron, a czwarta - odkryta, była właśnie początkiem tych schodów. Wygodnie przebraliśmy się w stroje kąpielowe i ... hajda do wody !!

W drodze powrotnej o mało nie zasnąłem z wrażeń i zmęczenia.



Fot. 7.
Przystań wioślarska w Łucku

W zimie, lub w dni chłodniejsze, chodziliśmy do Katedry i do miasta, ulicą Jagiellońską. Na tej ulicy, będącej głównym "spacerniakiem" mieszkańców miasta, "grasowali" uliczni fotografowie.



Fot. 8. Spacery z Mamą w lecie



Fot. 9. Spacery z Mamą w zimie

Razem z Mamą i Tatą, chodziliśmy w niedziele i święta do Katedry dwojaką drogą. W lecie, przy suchej pogodzie - na skrót; z Ogrodowej na Matejki, przecinaliśmy Al. Chrobrego na ulicę Szkolną w dół i dalej łąkami wśród bagien i starych korycisk Styru. Zawsze była tam jakaś ścieżka, jakieś kładki przez wodę i tak dochodziło się do skarpy Starego Miasta. Zawsze były tam schodki, po których wychodziliśmy w rejon Placu Zamkowego i ulicy Katedralnej, gdzie stała Katedra. Było to nieco bliżej, niż ulicą Jagiellońską, ale tylko przy suchej pogodzie. Wiosną i jesienią przejście tą drogą było niemożliwe.

W okresie szarug, szliśmy suchą nogą po ulicy Jagiellońskiej, przechodziliśmy przez kamienny most, ozdobiony popiersiami.

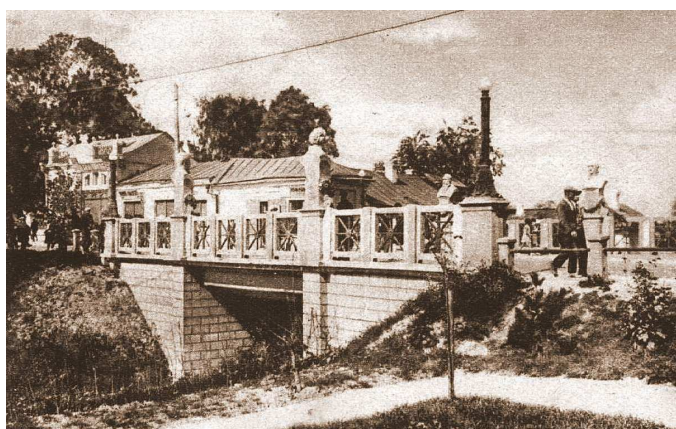
Fot. 10.
Most Kazimierza Wielkiego

Pytałem Ojca:

-Tato - co to za Panowie stoją na poręczy mostu ??

-Tata odpowiedział: to są popiersia wielkich Polaków - Słowackiego, Czackiego, Sienkiewicza i Kraszewskiego

-Niewiele z tego zrozumiałem, ale popiersia te zapisały się w mej pamięci do dzisiaj.



Po przejściu przez most na ulicę Bazyliąską, a potem na lewo Katedralną, dochodziliśmy do Kościoła.



Fot. 11.
Katedra w Łucku

W drodze powrotnej "zahaczaliśmy" o jedną z licznych cukierni przy ulicy Jagiellońskiej, n. p. Rozaliniego, gdzie Tata fundował nam przepyszne lody lub kremówki (w zależności od pory roku), a na wynos - oprócz ciastek, najlepszą na świecie chałwę, której smak czuję do dziś....

Tak było od święta. A w zwykłe dni - czasami, gdy Ojciec zostawał w mieście załatwiać jakieś sprawy (pracował jako mierniczy przysięgły w terenie całego Wołynia i nie był w domu nieraz tygodniami), towarzyszyłem mu w wyprawach na miasto.

Fot. 12.
Wyprawy z Ojcem
(ulica Jagiellońska)

Pamiętam kilka takich wypraw:

-Miał Ojciec zabytkowy, wahadłowy, gabinetowy zegarek, który stał zawsze na Jego biurku.

Oczywiście, miałem zakaz ruszania go. Nie wiem, czy bez mego udziału, czy miałem coś z tym wspólnego, raz przestał chodzić. Tata trochę w nim pogrzebał, podejrzliwie spojrzał na mnie i powiedział:

- Choć - zaniemiemy zegar do naprawy do zegarmistrza.

Mama ubrała dziecko jak należy, pocałowała i poszliśmy spacerkiem do miasta. Okazało się, że Pan zegarmistrz nazywa się Witwicki, i siedzi w niedużym pomieszczeniu przy ulicy Jagiellońskiej (koło Ogrodu Miejskiego). Stolik miał zavalony różnymi drobiazgami, a najwięcej przeróżnych zegarów. Pooglądał przyniesiony zegar, trochę pokręcił głową, coś Tatowi powiedział, ale zegar zostawił u siebie.





W drodze powrotnej Tata kupił gazetę, oczywiście z innej daty, niż ta na zdjęciu, ale mam tylko taką reprodukcję.

Po paru dniach Ojciec przyniósł zegar, który chodzi prawie do dziś. Dlatego prawie, że w dobie elektroniki, nikomu nie chce się nawet nakręcić sprężyny...

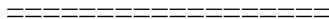
Fot. 13. Gazeta z przedwojennego Łucka

Druga wyprawa, którą pamiętam, to również z Tatą, do sklepu żelaznego po jakieś gwoździe, czy coś podobnego. Na placu Bazylińskim, w starej kamienicy był wąski sklep, do którego wchodziło się po kilku wysokich (jak dla mnie) schodkach. W środku było ciemno i ponuro. Za ladą stał jakiś Pan. Ale najciekawszym było to, że Tata powiedział do mnie, wskazując na tego Pana:

-Popatrz, to jest Twój Ojciec chrzestny ! Nic nie powiedziałem, ale Pan zaczął podziwiał mnie, mówiąc:

-Aleś urósł - a pamiętam jak trzymałem Ciebie na rękę do Chrztu Świętego !

Jak się okazało, był to Pan Piętkowski, mąż właścicielki sklepu żelaznego i kolega mojego Ojca.



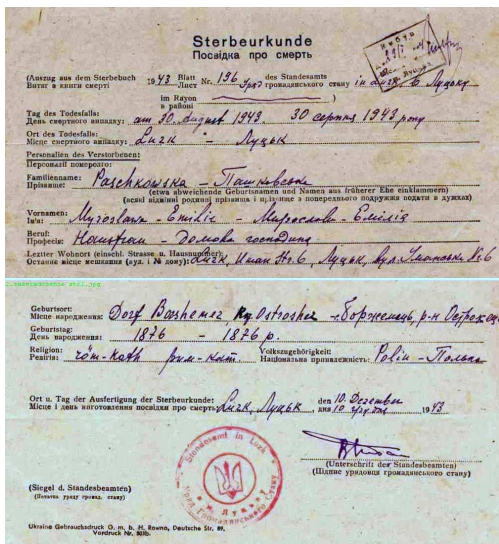
Gdy po 17 września 1939 roku Łuck został okupowany najpierw przez Sowietów, a potem Niemców, moje wędrowki po mieście ustały.

Czasem tylko towarzyszyłem rodzicom w kolejkach pod nielicznymi sklepami, gdy chcieli zakupić choć trochę niezbędnej żywności.

W drugiej połowie naszego domku przy ulicy Ogrodowej, mieszkały dwie siostry Ojca, starsza – Malwina i młodsza – Mirosława. Obydwie krawcowe – szyły odzież dla ludzi zwłaszcza z pobliskich wsi Hnidawy i Rwańce.

Mirosława stękając ciągle na zapiecku w swojej kuchni, słabła coraz bardziej i nie doczekawszy repatriacji, zmarła w sierpniu 1943 roku, w czasie okupacji Łucka przez Niemców.

Pamiętam, jak furmanka wioząca nieheblowaną trumnę leżącą na słomie, zjechała z górki z ulicy Ogrodowej na Szopena, kierując się na Cmentarz Katolicki za Kolonią Urzędniczą. Za trumną szedł Tata, trzymając mnie za rękę. Więcej nikogo nie było ... Na cmentarzu, gdy trumnę składano do grobu, niedaleko grobowca Jana i Olimpii Paszkowskich, ksiądz kazał mi podejść do dzwonnicy i ciągnąć za sznurek dzwonu ... A teraz nawet cmentarza już nie ma...



Fot. 14. Akt zgonu Mirosławy Paszkowskiej

Wiosną 1944 roku, podczas przesuwania się linii frontu przez miasto, Niemcy zbombardowali większość ulic. Miasto legło w gruzach. Nawet gmach Kapituły Katedralnej został zbombardowany a wieża Katedry pękła na dwie części.

Wśród mieszkańców miasta chroniących się przed bombami w podziemiach Katedry, była też moja rodzina. Wiele osób zginęło zasypanych gruzami – myśmy ocalili. Pamiętam zarówno przebywanie w ciemnych, cuchnących lochach, w zbitym tłumie ludzi, jak i wielokrotne przechodzenie z ulicy Ogrodowej do Katedry i z powrotem, wśród dymiących zwałów gruzów Alei Bolesława Chrobrego.

Z początkiem lipca 1945 roku, gdy nastąpił zapowiadany przez Sowietów dzień wypędzenia, Ojciec wyszedł aby poszukać jakiejś furmanki do przewiezienia paru paczek i tobołków na stację kolejową. W tym czasie pod główne wejście od ulicy zajechał "Gazik" Armii Czerwonej w którym przyjechał rosyjski „lejtenat” z żoną i bezpardonowo oświadczył że to teraz jest ich dom i będą tu mieszkać. Wy się natychmiast wynoście... „udiraj w Polszu ! " Nie chciał nawet pozwolić na wyniesienie tylnymi drzwiami, spakowanych tobołków.

Mama rozplakała się ... - wyszła na ogródek oczekując przyjścia Ojca. Wzrok jej padł na kwitnące kwiaty... Najbliżej była maciejka...

Pamiętam, jak Mama szlochając, pełnymi garściami wrywała kwiaty, rzucając je na ziemię i deptając. Uwiesiłem się jej na szyi, mówiąc: „Mamo, nie płacz, nie rwij... szkoda kwiatków - takie ładne... „,

Nadjechał Tata furmanką...

Pewnie coś załatwił z owym lejtenantem (znał doskonale język rosyjski i psychikę żołnierzy), bo zaczęliśmy zaraz wkładać tobołki na wóz i odjechaliśmy w kierunku stacji kolejowej. Mama ciągle szlochała, zatykając oczy - nie popatrzała się nawet po raz ostatni na nasz dom. Tak rozpoczęła się nasza wędrówka do Polski.

Fot. 15.
Dworzec kolejowy w Łucku

Przywiezione furmanką tobołki, Ojciec przy pomocy furmana, Mamy i Ciotki Malwiny (która z nami jechała), znosił na rampę kolejową znajdującą się tuż koło torów.



Obok nas znajdowali się inni ludzie, dzieci, starcy, a nawet zwierzęta: kozy, krowy i inne. Rozlegały się odgłosy rozmów, płaczu dzieci i kobiet, uzupełnione poszczekiwaniami psów i porykiwaniami krów.

Nie pomnę, jak długo koczowaliśmy tam; kilka godzin czy kilkadziesiąt. W każdym razie, kochający Rodzice zapewнили dla mnie wystarczającą w tych warunkach – opiekę.

Nie marzęm, bo letnia pora sprzyjała, a przygotowane jeszcze w domu pożywienie, było wystarczające.

Nadjechała wreszcie czarna lokomotywa, dudniąc i psykając parą, ciągnęła za sobą niezliczoną ilość brudno-rudych wagonów bydłowych i zgrzytając hamulcami, rozpoczęła zwalnianie. Ludzie ożywili się, mówiąc:

-Chwała Bogu , że dali wagony z dachem, a nie platformy, co się zdarzało.

Każdy rzucił się do wagonów najbliższych zatrzymujących się. Ojciec w jakiś sposób wybrał taki wagon, do którego nie wprowadzano zwierząt. Wraz z nim rozpoczęło załadunek kilka w pobliżu koczujących rodzin. Pod koniec pracy, posadzono mnie dość wysoko, na jakiś miękki

tobółkach, z daleka od drzwi (aby nie zawiąło – drzwi były z reguły cały czas otwarte). Po pewnym czasie buchnął czarny dym z komina lokomotywy, pociąg szarpnął i ruszył.

Epilog

Obywatel: *Paszkowski Leopold z. Żenna*

Головний Управління
Тимчасового Рządu Народового
Українського Національного Уряду
Rzeszurskiej Polskiej
Польської Республіки
22 VII 1945

KARTA EWAKUACYJNA
Евакуаційний лист *1924*

Wydano obywatelowi *Paszkowski Leopold* urodz. *1922* r.
Дано громадянину *Львів Олександр* року народж. *1922*

mieszkańcowi wsi (miasta) *Żenna Ogińska 6* powiatu *Żenna*
жителю села (міста)

яко dowód, że za pozwoleniem Głównego Urzędu Tymczasowego Rządu Narodowego dla ewakuacji z terytorium Ukraińskiej SRR
ного Уряду Польської Республіки

Nazwisko, imię, imię ojca Прізвище, ім'я та по батькові	Рік, в якому народився Рік народження	Рік, в якому вступив до волости Рік вступу до волости	Уваги Примітки
<i>Paszkowski Leopold z. Frimic</i>	<i>1922</i>		
<i>Paszkowski Leopold z. Ogińska</i>	<i>1934</i>		

Pierwsza strona

Obywatel: *Paszkowski Leopold z. Żenna*
Громадянин

przewzi z sobą koni, wozach, woziach, wozach, wozach
з собою перевозить коней, возов, возов, возов, возов

inwentarza: pługów, wozów, wozów, wozów
инвентаря: плугів, возів, возів, возів

produktów żywnościowych, produktów żywnościowych
продуктів харчових, продуктів харчових

Wpisano pod poz. nr *4649*

UWAGA: Ewalnowany z terytorium Ukraińskiej SRR
увага: евалнований з тєриторіуму Української СРР

PRIMITYWA: Ewalnowany z terytorium Ukraińskiej SRR
примитива: евалнований з тєриторіуму Української СРР

Rejonowy Rejonowy
Районний Районний

BURO MELDUNKOWE
Справдано *22 SIERP 1945*

Rejonowy Przedstawiciel
Районний Представитель

Państwowy Urząd Repatriacyjny
Пункт Етаповий

16 LIP 1945

Druga strona

Fot. 16. Karta ewakuacyjna

Był to chyba dzień 3 lipiec 1945 rok popołudniu.

Po niedługim czasie, pociąg jadąc w kierunku Brodów, otoczywszy półkołem miasto, znalazł się na zielonych łąkach podmiejskiej wsi Hnidawy.

Przez otwarte ciągle drzwi, zobaczyłem za łąkami niebieską wstążkę Styru, a za nim, oświetlone zachodzącym słońcem, zabudowania Starego Miasta Łucka, wśród których wyróżniały się białe mury Kolegiaty i wieże Katedry Św. Piotra i Pawła – mojego Kościoła, z którym tyle mnie łączyło - chrzest, Komunia Św.. a potem cudowne ocalenie w podziemiach ...

Łzy mi stanęły w oczach. Widok ten zapamiętałem na zawsze.

Napisał w marcu 2011 roku
Urodzony w Łucku „Wołyniak”
(-) Zenon Leopold Paszkowski